

Albert Karkosz

Stały diakon

Archidiecezja katowicka

PEŁTWIĄ NASZEPTANE...

Z jednym wyjątkiem – wszystko ma swój początek. Każdy byt stworzony, przygodny, ma swój początek. *Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga i Bogiem było słowo.* Tak tę prawdę ujął w prologu natchniony autor czwartej Ewangelii – św. Jan. W tej materii nie można nic dodać i nic ująć. Patrząc na rzeczywistość, która nas otacza, z człowiekiem na czele, stanowiącym ukoronowanie wszystkich dzieł Pana Boga, zawsze jest gdzieś ten początek. Dotyczy on samego życia człowieka i jego etapów, które będąc zakorzenione w środowisku jego aktywności, przyczyniają się logicznie i konsekwentnie do powstawania kolejnych.

Na granicy byłych dwóch zaborów: austriackiego i pruskiego, ale jeszcze na terenie Galicji, na styku aglomeracji Bielska-Białej i Czechowic-Dziedzic, w Bronowie, człowieczeństwo księdza Józefa Krętosza miało swój początek. Środowisko domu rodzinnego, przesiąknięte wielowiekową spuścizną wpływów śląsko-czeskich i austro-węgierskich, nie było bez znaczenia w realizacji życiowych pasji księdza Józefa. Później kolejne etapy edukacji. Kolejne miejsca związane tematycznie z pasją historyczną Księdza Jubilata. Poza wymienionymi etapami i miejscami pojawiają się bardziej lub mniej wpływowe postacie, które również kształtowały wyjątkową osobowość kapłana. Gdzieś w tym czasie jest początek pewnych przyzwyczajzeń, upodobań czy zwyczajów, które przerodziły się w elementy własne, niejako tożsame z tą postacią, jak np. kawa cappuccino czy fascynacja Lwowem, który nieczym czarownica go opętał – jak powiada.

Można snuć wielowątkowe opowieści i anegdoty o sytuacjach, które inspirowane wspomnianymi nietuzinkowymi postaciami na stałe zagościły w życiu Księdza Profesora. Nie wiemy dokładnie, w jakim stopniu ten czy inny napotkany

element miał większy lub mniejszy wpływ na to, co dziś stanowi o bogactwie naukowca – księdza Józefa.

Na pewno kluczowymi postaciami wśród wielu w czasie seminaryjnym i początkowym okresie kapłaństwa księdza Józefa Krętosza byli księża Bolesław Kumor i Jan Szurlej. Pierwszy – Sądeczanin, zaszczerpił Pełtwią naszeptaną miłość do perły Galicji – Lwowa, a drugi – Lwowianin, tylko ją utwierdził.

Jak bardzo trzeba kochać to, co stanowi słowo „Lwów” – miasto, przyrodę, a nade wszystko mieszkających tam ludzi, ich zwyczaje, tradycję i religię, skoro, nigdy tam nie będąc, dwie ważne dla naukowca prace oparte zostały na tym temacie.

Ksiądz Jan Kanty Szurlej był kapłanem wielkiego serca i wręcz nieprzyzwoitej skromności, o bardzo wyrazistej osobowości, wywodzącym się z przedwojennych kręgów lwowskich XX wieku. Powstaje pytanie, dlaczego akurat ta postać, a nie inna? Otóż w tym roku mija setna rocznica urodzin księdza Szurleja, stanowiącego niejako pomost między środowiskami Katowic i Lwowa – tak bliskiego księdzu profesorowi Józefowi Krętoszowi.

Kolejnym ważnym argumentem przemawiającym za przytoczeniem tej postaci była moja z nim znajomość.

A oto garść wspomnień:

Trudno uwierzyć, że od tego momentu minęło już trzydzieści siedem lat... Pamiętam to jak dzisiaj. Letnie przedpołudnie roku 1977. O tej porze miałem wyznaczoną godzinę na ćwiczenie gry na organach.

Półmrok krypty katedry Chrystusa Króla w Katowicach. Siedziałem przy kontuarze i zaczynałem to, co do mnie należało. Pierwsze wolne, labialne dźwięki zadanego utworu. Byłem skupiony, gdyż było to jego pierwsze czytanie. Nie odrywałem wzroku od nut. Po krótkiej chwili zaczął do mnie docierać zapach męskiej wody kolońskiej „Tabacora”, który stawał się coraz bardziej intensywny. Przerwałem grę w momencie, gdy na prawym ramieniu poczułem ciepło czyjejś dłoni. Odwróciłem się, a obok mnie stał ksiądz Jan Szurlej (znany mi już wcześniej). Koniec z ćwiczeniem. Przyszedł na pewno odprawić Mszę św. – pomyślałem sobie mocno niezadowolony z zaistniałej sytuacji. A ksiądz rzecze: – Ładnie grasz, podoba mi się. Chciałbym odprawić Mszę św. przy twoim akompaniamencie. – Jak to, przy moim akompaniamencie? – zapytałem. – Tak po prostu – odpowiedział. – Ty będziesz sobie grał, ale pod warunkiem, że będzie to ten utwór, a ja odprawię cichą Mszę. Wówczas ku mojej radości, spadł mi z serca kamień. Kontynuowałem „dukanie”, ponieważ do płynnej gry było jeszcze bardzo daleko. I rzeczywiście po chwili z zakrystii, ubrany w szaty liturgiczne, wyszedł ksiądz Jan, a ja mu towarzyszyłem, wypełniając półmrok świątyni dźwiękami ćwiczonego utworu. Po skończonej celebrze, wychodząc z krypty, z rysującym się na twarzy zadowoleniem, podziękował mi za udaną współpracę. Było to moje z księdzem Janem, niezaplanowane i niezapomniane, ostatnie spotkanie.

Wspominałem, iż kapłan ten był mi już wcześniej znany. Otóż kilka miesięcy przed tym spotkaniem siedłem z moim tatą ulicą Powstańców w Katowicach.

W okolicach katedry Chrystusa Króla ujrzelśmy księdza Jana, idącego zamaszystym i dostojnym krokiem. Zbliżył się do nas i zaproponował u siebie, czyli w redakcji „Apostolstwa Chorych” – cappuccino, jego ulubioną kawę. Napój był przedni. Rozmowę otwarło standardowe pytanie: – Co tam u was w szerokim świecie? No i zaczęło się... Ojciec był właśnie pod ogromnym wrażeniem treści listu, jaki otrzymał od swojego znajomego z Bukaresztu, a napisanego zaraz po wielkim trzęsieniu ziemi, które nawiedziło to miasto. Opisywał on cudowne ocalenie części swego domu, w którym zawieszony był drzeworyt Pawła Stellera, przedstawiający cudowny wizerunek Matki Boskiej Piekarskiej, który przed laty dostał w prezencie od mego ojca. Zasadniczą treścią listu był hołd za ocalenie złożony przez jego autora Matce Boskiej, którą nazywał „Orędowniczką wszelkich łask”. Opowieść o tym cudownym wydarzeniu tak zainteresowała księdza Szurleja, człowieka niesamowitej wrażliwości, że postanowił go osobiście przetłumaczyć na język polski i w całości wydrukować na łamach „Apostolstwa Chorych” [48,9 (1977)]. W tym miejscu warto wspomnieć, że ten niezwykły kapłan władał biegle wieloma językami.

Migrując po mocno zakurzonych obszarach mej pamięci, przypominam sobie bardzo wiele momentów i barwnych anegdot związanych z temperamentną osobą księdza Jana Szurleja, którego setną rocznicę urodzin wspominamy w tym roku, dokładnie 15 października. Jego temperament był jak wspomniana kawa cappuccino – delikatny, a jednocześnie wyrazisty i intrygujący. O wielu wydarzeniach z życia księdza Jana opowiadał mi mój wuj – także ksiądz z diecezji lwowskiej, kolega ze studiów lwowskich księdza Szurleja – Tomasz Trębacz (1908–1992). W związku z okrągłą rocznicą urodzin księdza Szurleja warto w krótkim zarysie ukazać wyjątkową historię jego życia, którego początki wiążą się z niewielką wioską, Słobodą Konkolnicką w ówczesnym powiecie rohatyńskim, na terenie województwa stanisławowskiego.

Tutaj przyszedł na świat 15 października 1914 roku w rodzinie Antoniego i Bronisławy, z domu Kwiatkowska. Chrzest przyjął w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Marii Magdaleny w Konkolnikach. Podczas polsko-ukraińskiej wojny o Galicję Wschodnią w maju 1919 roku cudem uniknął śmierci, stojąc już wraz z rodziną pod murem, gdzie mieli zostać rozstrzelani. Do szkoły powszechnej młody Janek uczęszczał w Bołszowcach, a następnie uczył się w VI Gimnazjum Klasycznym im. Stanisława Staszica we Lwowie. W 1936 roku po złożeniu egzaminu maturalnego, Jan Szurlej wstąpił do Seminarium Duchownego we Lwowie i jednocześnie został studentem na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza. Po zajęciu Lwowa przez wojska sowieckie 22 września 1939 roku Wydział Teologiczny na UJK został rozwiązany. W jego miejsce powstał Tajny Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jana Kazimierza (1939–1944), którego absolwentem został właśnie Jan Szurlej. Przyjął potajemnie sakrament święceń kapłańskich 29 czerwca 1940 roku. Święceń udzielił mu bp Eugeniusz Baziak w kaplicy św. Józefa w katedrze obrządku łacińskiego pod wezwaniem

Wniebowzięcia NMP we Lwowie. Warto nadmienić, iż po studiach na Tajnym Wydziale Teologicznym UJK w latach jego funkcjonowania wyświęconych zostało 77 nowych kapłanów. Wielu z nich, jako repatrianci, wraz ze swoimi parafianami przybyli głównie na Śląsk. Podczas wojny terytorium archidiecezji lwowskiej znalazło się pod niemiecką okupacją. W tym czasie, krótko po święceniach, ksiądz Szurlej pracował w duszpasterstwie w warunkach okupacji jako wikariusz w rodzinnych Konkolnikach. Były to lata 1940–1943. Do 1946 roku we Lwowie pełnił funkcję kapelana sióstr karmelitanek i felicianek oraz wikariusza w kościele Świętej Anny, będąc równocześnie kapelanem szpitalnym. W czasie pracy duszpasterskiej, zwłaszcza w Konkolnikach, współpracował z AK, gdzie organizował samoobronę parafian przed napadami bojówek Ukraińskiej Powstańczej Armii. W lipcu 1946 roku ksiądz Jan Szurlej wyjechał ze Lwowa i przybył do Katowic, zgłaszając się do pracy duszpasterskiej w tej diecezji. W październiku tego samego roku został kapelanem szpitala przy ulicy Francuskiej (do 1958 roku) oraz katechetą w męskiej szkole zawodowej (do roku 1949). W 1950 roku uzyskał na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie tytuł magistra teologii, a dwa lata później na tym samym wydziale obronił tytuł doktora. W 1959 roku zgłosił się do konkursu na proboszcza w parafii Przemienienia Pańskiego w Katowicach, lecz bp Herbert Bednorz skierował go do pracy jako wykładowcę teologii moralnej w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Krakowie, gdzie przebywał w latach 1960–1977. Imponował klerykom swoją wiedzą, prawością i skromnością. Po śmierci księdza Michała Rękasa, z mandatu Prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego, od maja 1964 roku aż do swojej nagłej śmierci pełnił funkcję sekretarza Krajowej Centrali Apostolstwa Chorych w Polsce, mającej swoją siedzibę w Katowicach. Ksiądz Jan Kanty Szurlej poza wymienionymi funkcjami, publikował artykuły na łamach „Gościa Niedzielnego”, „Apostolstwa Chorych” i „Śląskich Studiów Historyczno-Teologicznych”, ujawniając swoją wrażliwość i charyzmat związany ze służbą ludziom chorym i potrzebującym. W uznaniu jego zasług na niwie Pańskiej 15 października 1971 roku został mianowany kapelanem Jego Świątobliwości. Zmarł nagle 30 grudnia 1982 roku w drodze, idąc z kamienicy przy ulicy Powstańców, w której mieszkał, na Mszę św. do katowickiej katedry. Spoczął pierwotnie na cmentarzu przy ulicy Francuskiej w Katowicach. Później trumna została przeniesiona do grobowca rodzinnego na cmentarzu w Kłodzku (taka była wola zmarłego), a w Katowicach pozostała tylko tablica epitafijna w miejscu jego pierwotnego pochówku.

Czyż nie jest ciekawa postać Lwowianina z pochodzenia, a katowiczana z wyboru? Nie można się więc dziwić Księdzu Jubilatowi – Józefowi, że został opętany, jak to sam określa czarownicą – Lwowem. W tym miejscu chciałoby się zacytować fragment wiersza Zygmunta Kaczkowskiego pt. „Grób Nieczui”: „Ziemia ta tyle w sobie ma od Boga piękności, tyle w niej jeszcze nie pogrzebanych pamiątek zmierzchłej przeszłości, a wszystko to jeszcze tak żywe, tak wymowne, tak chwytające za serce...”.